

Światek polskich wyścigów konnych tkwi w PRL

Jerzy Sawka



W Polsce nie istnieje środowisko wyścigowe. Jest kilka stowarzyszeń, którym wydaje się, że do takowego przynależą, ale w rzeczywistości są tak zatimizowane, że nie są w stanie - ani razem, ani osobno - zaproponować sensownej wizji przyszłości.

Kto więc rządzi polskimi wyścigami? Żaden ważny prezes, tylko rodzimy starszy szeregowy Wintergreen, odpowiednik jednego z bohaterów słynnej powieści Josepha Hallera „Paragraf 22”. Przez Wintergreena przechodzi korespondencja armii Stanów Zjednoczonych, a on, okraszając dokumenty swoimi podpisami nadaje im służbowy bieg. Wintergreen robi to, co wszyscy przed nim, czyli utrzymuje ruch.

Ale zacznijmy od początku, od góry. Polski Klub Wyścigów Konnych, państwowa osoba prawna podlega ministrowi rolnictwa. To minister arbitralnie decyduje o tym kto będzie prezesem PKWK, a także kto zasiądzie w Radzie PKWK, dziewięćosobowym gronie społecznym, które ma reprezentować interesy poszczególnych grup domniemanego środowiska. Przed nowelizacją – w 2016 roku – ustawy o wyścigach konnych prezesa PKWK wybierała Rada, a minister jej wybór akceptował

lub nie. Teraz minister nie musi nikogo pytać o zdanie. Sam powołuje prezesa oraz Radę i w każdej chwili może odwołać kogo zechce.

Czym dla ministra rolnictwa są wyścigi konne? Piątym kołem u wozu, reliktem przeszłości, generatorem problemów, szczególnie po aferze ze stadninami koni arabskich. Po niej konie stały się polityczne. W potężnym obszarze gospodarki, jakim jest rolnictwo, wyścigi to promil, rzecz bez znaczenia. Minister rolnictwa o tyle ma je z głowy, że Totalizator Sportowy trzynaście lat temu dostał na garb tor Służewiec.

Państwowa hodowla koni nie ma sensu. Rozumiały to wszystkie ekipy rządzące po 1989 roku, które bez względu na zabarwienie ideowe sukcesywnie likwidowały stadniny państwowe i stada ogierów. Słusznie.

Do niedawna uważałem, że w gestii państwa powinny zostać małe stada zachowawcze koników polskich i hucułów oraz stadniny arabskie. Teraz, po rozwaleniu przez ministra Krzysztofa Jurgieła Janowa i Michałowa, jestem zdania, że hodowla arabów powinna całkowicie przejść w ręce prywatne. PiS utrzymuje przy życiu te stadniny, bo nie chce się przyznać do zbrodni. Niestety, obawiam się, że następne władze też sobie z nimi nie poradzą i jak już to pojmą, to zaczną traktować Janów i Michałów jak Niemcy kikut kościoła przy berlińskim Ku'dammie, który stoi tam by potomni pamiętali co tu się wydarzyło i kto jest temu winien.

Wcześniej w Polsce wyścigi też nie miały istotnego znaczenia, dlatego w powszechnej świadomości zadomowiło się przekonanie, że wyścigi to tylko Służewiec. Tak też o sobie myślał Służewiec. Taki pogląd posłusznie zaakceptował Wrocław, godząc się na wyścigi na państwowych koniach półkrewi. Sopot wykorzystał okazję zmiany ustrojowej, by wymiksować się w ogóle z wyścigów. To było racjonalne działanie.

W 2013 roku Wrocław dokonał rewolucji, eliminując z toru półkrewki i prywatyzując dotychczas miejskie stajnie wyścigowe. Wtedy na polskim rynku pojawił się drugi obok Totalizatora Sportowego podmiot organizujący wyścigi – miasto Wrocław. I ten podmiot stworzył w ostatnich latach jedyną nową jakość w polskim świecie wyścigowym, bo przyciągnął na tor publiczność. Stało się to możliwe dzięki szerokiemu otwarciu terenu, budowie infrastruktury do rekreacji mieszkańców, utworzeniu wielkiej szkółki jeździeckiej, organizacji wydarzeń artystycznych.

Jednak wejście Wrocławia na mizerny rynek wyścigowy nic merytorycznie w branży nie zmieniło. Oprócz tego, że kilku ludzi ze specyficzną wiedzą o rodowodach koni i pamięcią historyczną obruszyło się na obecność prowincji w wielkim świecie Służewca, choć ten świat to w istocie „Wielki świat Capowic”. Służewiec ze swoją infrastrukturą, mieszkańcami i bywalcami jest zamkniętą w czasie i przestrzeni enklawą. Jej użytkownicy najlepiej by się czuli, gdyby nic w ich świecie nie zmieniać, oprócz oczywiście takich działań, które poprawią ich byt jednostkowy. Słowem chodzi o to, by było, jak było, tylko lepiej. To myślenie nie tylko rdzennych mieszkańców Służewca, ale też ludzi, którzy trenują oraz trzymają konie na torze. Większości z nich chodzi o to, żeby Totalizator Sportowy zapewnił im lepszą infrastrukturę i dał więcej pieniędzy na pulę nagród.

Takie samo myślenie obecne jest na wrocławskim torze. Większość trenerów zachowuje się w myśl popularnej ostatnio zasady „bo nam się należy”; zdają się nie dopuszczać do siebie myśli, że wynajmując stajnie od toru, wchodzą w relacje biznes-biznes, że ponoszą odpowiedzialność za dzierżawione mienie, że muszą szanować innych użytkowników wspólnej przestrzeni, choćby tylko dlatego, że od zainteresowania torem zależy jego sytuacja finansowa, bo same wyścigi nie zarabiają, są utrzymywane. Po ludzku to może być wiedza trudna do zaakceptowania, ale taka jest prawda.

Zarówno na Służewcu, jak i na wrocławskich Partynicach mimo formalnej likwidacji PRL-owskiej struktury przedsiębiorstwa duch przeszłości żyje i wyłazi z zakamarków stajni.

Nikt w tym wyścigowym niby-środkowisku nie myśli w kategoriach przyszłości branży. Wszyscy ignorują fakt, że ta dycha tylko dzięki wsparciu publicznemu. Wszyscy oczekują pomocy zewnętrznej i to doraźnej. Tu i teraz. A to droga donikąd. Wyścigi konne mają problem na całym świecie. Za sprawą współczesnego podejścia do zwierząt i konkurencji finansowej innych gier dostępnych w przebogatym internecie, branża, żeby przetrwać, musi skorygować swój charakter i zaproponować akceptowalny społecznie oraz atrakcyjny dla widowni nowoczesny model.

Totalizator Sportowy utrzymuje wyścigi, bo musi, gdyż taka przed laty zapadła decyzja polityczna. Miasto Wrocław postawiło na wyścigi, bo chciało ożywienia tego miejsca, bo szanuje historyczną przestrzeń, bo ma widowiskową atrakcję dla swoich mieszkańców i gości.

Jednak bez względu na motywacje obydwu podmiotów rzeczywisty los wyścigów nie zależy tylko od ich woli, chcenia lub niechcenia. Przyszłość wyścigów zależy przede wszystkim od samej branży, od ludzi w nią zaangażowanych, od ich wyzwolenia z okowów zmitologizowanej przeszłości, od ich otwarcia na przyszłość, od ich umiejętności przekonania do siebie współczesnej opinii publicznej. Trenerzy, jeźdźcy, właściciele koni, dziennikarze branżowi, specjaliści od rodowodów i historii są w głębokim błędzie, jeśli myślą, że reprezentują taką wartość sportową, gospodarczą czy społeczną, iż wszyscy święci pochylą się nad nią i będą hołubić jak mamusia nowo narodzone dziecko. Tym bardziej, że to już nie dziecko, lecz duży facet, tyle że maminsynek.

Trzeba to jasno powiedzieć – z takim myśleniem i tak już licha branża sama się uśmierci. Nikt nad nią nie zapłaci. Zobaczcie co się stało w Austrii. Tam wyścigi padły.

A Austriacy mają się bardzo dobrze.